NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 13 | Katowice, 3-go kwietnia | 1932

Na niedzielę przewodnią.

EWANGELJA

zapisana u św. Jana w rozdz. 20, w. 19-31.

W on czas: O zmroku dnia owego, który był niedzielą, — mimo, że drzwi były zamknięte, gdzie uczniowie byli zgromadzeni z obawy przed Judejczykami, — przyszedł Jezus i stanął w pośrodku, i rzekł do nich: Pokój wam! A po tych słowach pokazał im ręce i bok; uczniowie zaś ucieszyli się, ujrzawszy Pana. Rzekł im więc powtórnie: Pokój wam! Jako Mnie posłał Ojciec, tak i Ja was posyłam. A po tych słowach tchnął i rzekł im: Weźmijcie Ducha Świętego; którym odpuścicie grzechy, są im odpuszczone; a którym zatrzymacie, są zatrzymane.

Tomasz zaś, ujrzawszy Didymus, jeden z dwunastu, nie był z nimi, kiedy Jezus przyszedł. Inni przeto uczniowie mówili mu: Widzieliśmy Pana. Ale on im odrzekł: Jeśli nie ujrzę śladu gwoździ na rękach Jego, i nie włożę palca mego w miejsce gwoździ, a ręki mojej nie włożę w bok Jego — nie uwierzę. A po ośmiu dniach uczniowie Jego byli znowu w domu, a Tomasz z nimi. Jezus przyszedł pomimo drzwi zamkniętych i stanął w pośrodku, i przemówił: Pokój wam! Potem rzecze do Tomasza: Włóż palec twój tutaj, i oglądaj ręce moje; podnieś także rękę swą i włóż ją do boku mego, a nie bądź niedowiarkiem, lecz wierzącym. Odpowiedział Tomasz i rzekł doń: Pan mój i Bóg mój. Jezus mu rzecze: Żeś Mnie ujrzał, Tomaszu, uwierzyłeś? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. — Wiele też innych cudów dokonał Jezus w oczach swych uczniów, których nie zapisano w tej księdze. To zaś napisano, abyście uwierzyli, że Jezus jest Chrystusem, Synem Bożym, i abyście wierząc mieli żywot w Imię Jego.

NAUKA.

„Gdyby nie było spowiedzi, należałoby ją wymyślić! Gdyby jak skarb skryty tysiąc mil głęboko pod ziemią była zakopana, starałbym się ją wydobyć na światło dzienne!“ Któż takie wypowiedział słowa o spowiedzi, o tym sakramencie, którego ustanowienie głosi dzisiejsza ewangelja? Nikt inny, jak Luter Odstępca! Ten, który tak wiele rzeczy odrzucił z religji katolickiej, jednak zatrzymał Sakrament Pokuty, bo **uważał go za rzecz niezbędną, niczem niezastąpioną!** Choć w zmienionej, zniekształconej postaci zachował dla protestantyzmu spowiedź i pokutę za grzechy.

Ustanowienie Sakramentu Pokuty jest pierwszem dziełem Zbawiciela, dokonanem jeszcze we wieczór tego dnia, w którym chwalebnie wstał z grobu!

Za mało niestety cenimy sobie dobrodziejstwo tego Sakramentu. Zapominamy, że **spowiedź często jest ostatnią deską ratunku!** Tak wielu umiera z rozpaczy, nie mogąc się spowiadać! **Prośmy Boga, aby nie odmówił nam dobrodziejstwa odprawienia dobrej spowiedzi przedśmiertnej.** Jakże niejeden tęsknić będzie wtedy w ostatniej chwili życia za spowiedzią, jak niecierpliwie wyglądać przybycia spowiednika! Za spowiednikiem tęskniła nieszczęśliwa, przez rewolucjonistów na śmierć skazana królowa francuska Marja Antonina, której odmówiono kapłana przed straceniem! Nic nie pomogły prośby i zaklęcia! Wreszcie słaby promyk nadziei! Zrozpaczona królowa otrzymuje przez zaufaną osobę potajemnie wiadomość, że w drodze na miejsce stracenia w oknie jednej z kamienic znajdować się będzie kapłan, który z oddali udzieli jej rozgrzeszenia! Idzie na śmierć królowa, tłum uliczny zgiełkliwy naokoło, a ona w strasznej chwili przedśmiertnej, wzrokiem błądzi po oknach, szukając umówionego znaku kapłana! Nareszcie odnajduje! Pochyla głowę, kapłan z daleka widoczny, podnosi rękę na znak rozgrzeszenia! Oblicze skazanej, dotąd znękane i przygnębione, rozjaśnia się, niebiańską radością! Ginie spokojna.

Gotuj się do tej ostatniej spowiedzi przez godnie odprawiane spowiedzie w ciągu życia całego i módl się o to dobrodziejstwo na ostatnią godzinę. Amen. **Ks. W. T.**

ANTONI A. SIWIEC.

Bogu na chwałę...

Przed Tobą o Boże, gnę moje kolana
Przed Tobą mój Władco, w proch słaniam się cały,
Dla Twojej chwały!

Z Twej Ręki o Boże — och, przyjmę bez skargi
I krzyże, cierpienia, czy wielkie czy małe
Na Twoją chwałę!

I Ciebie o Boże, Ja nędzarz mizerny
I życie me składam — Jeśli chcesz Wspaniały —
Dla Twojej chwały!

Dla Ciebie o Boże — Dla Mego li Pana! —
Przez miłość więc daję, mą duszę z ciałem,
Na Twoją chwałę!

O Boże! Ci składam: co słowią me wargi,
Z tem czyny, majątek i rozum mój mały,
Dla Twojej chwały!

I Tobie o Boże, ja pragnę być wierny,
I wierzę, iż życie — poświecę me całe,
Na Twoją chwałę!

Trybunał Lubelski.

(Podanie).

Król polski Stefan Batory był równie wielkim wojownikiem jak i rządcą. Wiele dobrego myślał zrobić dla kraju, a mając silną wolę i głowę po temu, a do tego miłość w narodzie, byłby przeprowadził, co zamierzał, lecz go śmierć zawcześnie zabrała. Jednakowoż nie wszystkie jego zamysły poszły w niwecz; niektóre zostały się i nadal.

Dawniej sądy należały do królów. Sądził król na sejmie w obec zgromadzonych senatorów i posłów z rycerstwa. Ale to zabierało dużo czasu, a zdarzało się nieraz, że sprawa długiego potrzebując wywodu, należycie rozpoznana być nie mogła. Aby więc zapobiedz niesprawiedliwości i czas na inne rzeczy obrócić, postanowił król niektóre sprawy oddać jednemu wielkiemu sądowi, któryby był najwyższą instancją w kraju.

Myślał sobie król: państwo stoi na sprawiedliwości; za krzywdę jednego mieszkańca pokutowali nieraz wszyscy, a trzeba, aby każdy był pewien swego życia, mienia i majątku, inaczej przepadnie wszelki porządek. Lecz do tego trzeba także, aby taki sąd, któryby ostatecznie wyrokował, miał powagę, a na to nie dość, iżby się składał z samych tylko wyćwiczonych w prawie, ale żeby doń wchodzili ludzie, dla których każden czuje uszanowanie i wiarę. Rozkazał więc, aby obywatele z pomiędzy siebie wybierali członków tego sądu, których zwano później deputatami; sam zaś sąd, że był naznaczony w Lublinie, zwał się Trybunałem Lubelskim i odbywał posiedzenia z wielką uroczystością co rok. Ten trybunał Lubelski miał swego marszałka, prezesa i wiceprezesa. Marszałkiem zwyczajnie bywał możny pan, bo dla utrzymania powagi i dostojeństwa musiał żyć z wystawą, a pojmujecie, że ludzie wybrani na deputatów, już się bardzo czuli wynagrodzeni zaufaniem mieszkańców, aby mieli się domagać zapłaty. Zresztą nie potrzebowali jej, bo wybierano na deputatów szlachtę osiadłą, co mogła kęs chleba i czasu swego ku pospolitemu dobru obrócić. Otóż przez długi czas trybunał Lubelski był wzorem wszystkich sądów. Deputaci, skoro przyłożyli rękę do serca i powiedzieli: „tak“, to pewno było tak, a wszyscy wiedzieli, że ich zdaniem nie kieruje żaden wpływ poboczny, interes, sympatja lub niechęć dla drugiego, co wszystko naówczas zwano prywatą.

Ponieważ trybunał wyobrażał, jakoby światło, które odróżniało prawdę od fałszu i sprawiedliwość od niesprawiedliwości, a przez to w swem ręku cząstkę tej władzy, która do majestatu panującego należy, zwano go przeto najjaśniejszym. Taką zaś otaczano powagą, że ktoby się w miejscu i czasie jego urzędowania dopuścił jakowej zbrodni, uważano go jako obrażającego majestat królewski.

Powiedziałem, iż przez długi czas trybunał zasługiwał na tę cześć. Ale kiedy obyczaje w narodzie psuć się poczęły i z serc wypędzono bojaźń Bożą i miłość powszechnego dobra, a o godność tylko tyle dbano, ile z niej własną korzyść można było ciągnąć, to też i trybunał, zdarzyło się, nie był takim sądem, jakim go chciał mieć Batory i jakim go przez półtorasta lat widziano. Szlachta wybierała zawsze deputatów, lecz jacy wybierający, tacy i wybierani. Wkradła się rozpusta, interes własny przemógł nad sprawiedliwością, jakby komu niesprawiedliwość wyszła kiedy na dobre, i sumienność sędziów przemieniła się w przedajność. Było to nietylko nieuczciwie, ale i niemądrze, bo gdzie nie jest pewnym sąd, tam jest niepewnym wszystko. Zbytki i rozrzutność musiały przywieźć do zbrodni, do przedajności; bo choć deputaci byli ludzie zamożni, ale rozrzutnemu zawsze mało.

Otóż w czasach takiego upadku, zdarzyło się, że pewna wdowa uciśniona procesem z człowiekiem możnym, a nie zawsze prosto chodzącym, proces ten w trybunale przegrała i straciła wieś jedyną, z której żyła sama z drobnemi dziećmi. Dopust Boży pomścił się jej krzywdy! Rozżalona niesprawiedliwością trybunału, zawołała wobec deputatów:

— A żeby mnie też djabli sądzili, toby wyrok był sprawiedliwszy!

Ciężka to rzecz, coś podobnego w sądzie powiedzieć: poczciwa kobieta narażała się na karę według statutów, ale boleść nie zna statutów, a panowie deputaci, mając jeszcze w kieszeni ciepłe pieniądze, które od przeciwnika wzięli, ze wstydu nie śmieli się odezwać, połknęli przykre słowo i pojechali na obiad do pana marszałka. Został się tylko pisarz, który wyrok przeciw wdowie redagował czyli spisywał i do akt zaciągał.

Nim się jeszcze z tą pracą uwinął, posłyszano turkot na ulicy. Zajeżdżały przed pałac kareta za karetą i z każdej wysiadali nieznani panowie czarno ubrani i w niemieckim stroju. Na głowach mieli trójgraniaste kapelusze, u boku szpadę. Nie zatrzymując się, poszli wszyscy na górę do sali sądowej. Spojrzy na nich pan pisarz; zdrętwiał ze strachu, bo z pod sukni każdemu wisiał ogon, a zamiast stóp i rąk, mieli kogucie pazury. Chciał się podnieść, ale najstarszy z djabłów (bo to byli djabli), co usiadł na krześle prezydującego, kazał mu pozostać i wezwał woźnego, także djabła, aby sprawę prowadził.

Słucha pan pisarz, oczu nie śmiąc podnieść, co to z tego będzie. Aż tu występują djabelscy adwokaci, a woźny krzyczy na głos: Sprawa wdowy tej a tej, z panem tym a tym; taż sama właśnie, którą trybunał dopiero co osądził niesprawiedliwie a pan pisarz śpieszył się z wyrokiem, bo był naprzód zamówiony i dobrze zapłacony.

Większe było jeszcze jego podziwienie, kiedy ci adwokaci z pazurami tak gruntownie i z taką znajomością prawa dowodzili, na jakąby nie było stać najtęższego adwokata w Koronie i Litwie. Skończył jeden, zaczyna drugi, a djabli z największą w świecie powagą słuchają. Toć to dopiero cuda wymowy! Jeden po drugim dowody zbija, wykrętne wykazuje rozumowanie, obejścia, podstępy i prawdę, jak się miała, wyświeca. Przypomina wszystkie okoliczności, o których nawet wdowa sama nie wiedziała, i jakby aż do gruntu serca uczciwej stronie zajrzał i wszystkie tajniki poznał, opisuje wszystkie szacherstwa, których się dopuszczano i wylicza kwoty, jakie deputaci pobrali, nie wyjmując nawet pana pisarza.

Byłoby stąd wielkie zgorszenie i powaga trybunału przepadłaby na zawsze; lecz na szczęście po skończonem posiedzeniu pierwszem, rozeszli się wszyscy słuchacze, nie spodziewając się tak niezwykłej sesji. Obaj adwokaci pokończyli swe wywody i prezes zadzwonił, a woźny zawołał: „na ustęp!“

Nie długo trwała narada, przyzwano strony i pan pisarz musiał odczytać wyrok, który mu gwałtem podyktowano, a był najsłuszniejszy w świecie,

kasujący uchwałę trybunału, przyznający wieś wdowie, skazujący przeciwnika na koszta procesu i zwrot innych należytości. Po odczytaniu wyroku, prezes i sędziowie w miejsce podpisów lub pieczęci, wypalili na akcie kogucie pazurki i rozeszli się.

Stała Matka boleściwa.

W Tody huczną biesiadę urządza słynny uczony prawnik i bogaty adwokat Jacopone da Todi. W marmurowych halach pałacu grzmi wesoła muzyka. Na galerji zasiadły najpiękniejsze panie miasta Todi, a między niemi, jak róża śliczna, małżonka bogatego Jacopona.

Młodzież miasta jej hołdy składa; ona do każdego mile się uśmiecha, ale taki majestat godności ją otacza, że nikt nie odważy się, wypowiedzieć jakie słowo nieskromne. Niekiedy smutnem okiem wodzi za Jacoponem, który otoczony kwieciem młodzieży, promieniuje szczęściem i zadowoleniem. Cóż mu jeszcze braknie? Ma bogactwo niezmierne, słynie w Włoszech jako uczony, świat podziwia anielską piękność jego żony. Jest szczęśliwy, jest zdrowy, jest młody, używa więc uciech i rozkoszy, pije złoty puhar rozkoszy do dna. — Ale pod kwiatem rozkosznym czyha żmija, między ustami i brzegiem puharu stoi śmierć!

Z oddali od nadbrzeżnych skał morskich, suną czarne jak kruki złowrogie chmury. Już złocisty wąż błyskawicy przeleciał po sklepieniu nieba. Już słyszeć w oddali głos grzmotu. I nagle, ciemność okrywa świat, z pod ziemi wydobywa się groźny ryk wszechpotężnych żywiołów. — — — **trzęsienie ziemi!** — Muzyka nagle urwała, przerażający głos przecina powietrze: Ratujcie się! Trzęsie się dom marmurowy, pękają białe filary, łamią się pozłacane słupy, galerja grzebie pod gruzami strojne panie i bogatych panów. Jacopone rzuca się naprzód, nadludzką siłą odrzuca ciężkie belki, odwala złomy marmuru, aż nareszcie wydobywa z pod gruzów ukochaną anielicę swoją. Ale ona już kona; bladość śmiertelna okrywa jej lica. Jacopone rozpacza; rozpina małżonce złotem haftowane suknie, by swobodniej odetchnęła. Co widzi? — Pod złocistem złotogłowiem, haftowanym perłami i drogiemi kamieniami, ukrywa się włosienica, ostra suknia pokutnicza!

Ostatnie słowa konającej są:

— Dla Ciebie, Jacopone, dla Ciebie pokutowałam, mój miły! — — —

I zasnęła na wieki. — — —

Jacopone opuścił świat, poszedł na pustynię. Pokutował za grzechy, codziennie opłakując zgon ukochanej małżonki. W najgłębszym pogrążony smutku, ułożył przecudną pieśń boleści:

Stała Matka boleściwa...

Cudowne Hostje.

W mieście Besancon we Francji przechowują w kaplicy pałacu arcybiskupiego cudowne Hostje, poświęcone jeszcze w roku 1793. w czasie rewolucji francuskiej. Kapłan, który je oglądał na własne oczy, tak je opisuje: „W puszce srebrnej znajdują się dwie bursy jedwabne, na brzegach wyzłacane. W bursach tych, czyli torebkach, są małe korporały, a raczej kawałek prostego płótna, w którym przechowuje się około 20 Hostyj małych. Są one całkiem białe i kruche, jakby niedawne, formy zwykłej, tj. tej, jakiej się używa do komunikowania wiernych. Historja tych Hostyj i ich znalezienia jest następująca: W czasie krwawej rewolucji francuskiej przeszłego wieku, wielu kapłanów, narażonych co chwila na śmierć przez rozstrzelanie lub gilotynę, nosiło na piersiach Hostje poświęcone, — ażeby w razie niebezpieczeństwa śmierci, posilić mogli siebie, lub wiernych Chlebem Aniołów. Hostje te nosili w korporałach owinięte, w bursach jedwabnych zawieszone na piersiach, stając się w ten sposób prawdziwie **żywemi Kościołami** Boga swego. W ostatnich dniach r. 1793 prześladowanie doszło do tego stopnia, że jeżeli przy którym z kapłanów na śmierć porwanych znaleziono Przenajświętszy Sakrament, nie odnoszono Go do Kościoła (jak to robiono w początkach wybuchu rewolucji), ale je poprostu składano między papiery i akty ówczesnych sądów, jako dowody rzekomej zbrodni.

Zdarzyło się tedy, iż pojmano w tym czasie dwóch kapłanów: ks. Crambella i O. Józefa Wejus, kapucyna, którzy obydwaj na piersiach ukryty mieli Przenajświętszy Sakrament. Okrutnicy rewolucyjni znalazłszy przy rewizji i protokóle sądowym Przenajśw. Hostje, złożyli je tak, jak były owinięte, jako załącznik do aktów sądowych. Tak leżały one aż do roku 1859. W tym czasie niejaki p. Sausayn, przeszukując w celach naukowo-historycznych papiery, z czasów rewolucji, odkrył wśród zapruszonych aktów i ten skarb najdroższy, a z dołączonych dosłownych protokółów przekonał się ze zeznań powyżej pomienionych kapłanów, że Hostje te były konsekrowane, a przeto prawdziwie Pan Jezus - Hostja pozostawał przez lat tyle złożony wśród onych papierów. Oczywiście, że doniósł o tem zaraz do pałacu biskupiego, poczem przeniesiono Hostje św. do kaplicy biskupiego pałacu, gdzie dotąd pozostają jako droga pamiątka cudownego zachowania postaci sakramentalnych przez lat już blisko 100 w stanie zupełnie niezmiennym i świeżym, i jako dowód cudownej miłości Jezusa ku ludziom.

Czwarte przykaz.. ..

Pewien wieśniak starą miał matkę. Nie pomny, że matkę trzeba szanować, często się z nią kłócił, zarzucając jej, że nic nie robi. Zapomniał on niestety, że ta matka dosyć się na niego napracowała, że gdyby nie ona, małem dzieckiem byłby umarł gdzie pod płotem. A zresztą — pracować nie mogła, bo dla starości siły ją opuściły. Na to wszystko zły syn nie zważał. Uniesiony gniewem, dał jej razu pewnego płachtę i wypędził z domu, mówiąc, aby do niego nigdy nie wróciła. Było to w nocy, zimą i mróz był trzaskający. Z płaczem opuściła dom stara kobiecina — i udała się na wieś, gdzie u serc litościwych znalazła przytułek.

Wrócił do izby syn niegodziwy i głęboko się zadumał. Oto, Kubuś synek jego sześcioletni, wyszedł z łóżeczka, usiadł pod piecem, wyciągnął stary kożuch i chciał go przekroić nożem na połowę.

Ojciec długą chwilę patrzał na Kubusia, aż nareszcie zapytał go:

— A dlaczego ty chłopcze chcesz kożuch przekroić?

— Dla tego, — odrzekł Kubuś — że jak urosnę, wypędzę ojca z domu, jak to ojciec uczynił z babu-

się; żeby zaś nie zmarzł, jak dzisiaj babusia, dam mu połowę kożucha!

Słowa te jakby piorun jaki, przeraziły niegodziwego człowieka. W pierwszej chwili nie mógł słowa wymówić, potem pobiegł do Kubusia, zaczął go ściskać.

— Nie, dziecko! Babusia wróci do domu.

Wybiegł czemprędzej z mieszkania i po długiem szukaniu znalazł swą starą matkę i mimo oporu przyprowadził ją do domu. Odtąd bardzo kochał i szanował swą matke.

Jaką miarką mierzycie, taką wam też odmierzą.

Za jej przyczyną.

Według prawdziwego zdarzenia.

Ciężkie, ołowiane chmury zasnuwały błękity. Jesienny deszcz lał bez przestanku. Rozmaczał i nawet na najsuchszych zawsze miejscach tworzył błoto. Zdawało się, że dni słoneczne, radosne już nie wrócą nigdy. Tak było ponuro, bardzo smutno!

W duszy pani Heleny jeszcze głębszy smutek panował. Spoglądała na czworo śpiącego maleństwa, to na obraz Bogarodzicy, to wyglądała przez okno, gdzie świat taki rozpłakany!... A płacz jej duszy wszystko to razem zlewał i przenikał.

Dlaczegóż płacz?

Bo miała męża pijaka. Nałogowego, niepoprawnego pijaka. Właśnie odszedł z mieszkania, by trafić na umówioną godzinę do karczmy, a na odchodne, gdy na opór żony natrafił, obił ją niemiłosiernie jak nieboskie stworzenie. Czuła boleść w członkach.... Z rozpaczą patrzała w przyszłość, bo już sprzęty skromnego mieszkania szły na wódkę — zarobek nie starczył... Nędza ku nim szła groźna, straszna i już prawie nieunikniona...

— Ratunku! — jęknęła, myśląc o tem.

Lecz nikt jej nie usłyszał. Czy naprawdę nikt? Spojrzała w oblicze Bogarodzicy i nie mogła uwierzyć, by Matka Najświętsza miała tak zimno, tak obojętnie na jej dolę spoglądać. Ona współczuć musi! I dopomóc też musi. Przecie to rozchodzi się o małe dzieci, a ta Matka Niebieska rozumie dobrze, czem jest miłość matczyna i troska serdeczna... Ona nie odmówi ratunku!

Uklękła przed obrazem pani Helena i modli się z dziwną ufnością w sercu, że wysłuchaną zostanie.

A Marja łagodnie się do niej uśmiecha...

. . . .

Nastaje sobota. Przed okienkiem kasy długi sznur robotników: czekają na wypłatę za pracę tygodnia. Pan Hieronim stoi również, a skoro kolej na niego przyszła, bierze zarobione pieniądze i... spieszy do domu. Zwykle o tej porze czekał na niego karczmarz - żyd, czekali koledzy - opoje, a lubili go, gdyż „hojnie fundował". Tym jednak razem daremnie za nim się oglądano: pan Hieronim poszedł prosto do domu. Bo nagle zrozumiał, że źle robił, marnując ciężko zapracowany grosz, przeznaczony dla rodziny, a nie na wódkę i dla żyda. Sam wytłumaczyć sobie tego nie mógł, dlaczego dziś inaczej myśli, aniżeli przedtem zawsze. Przypisywał to tej brzydkiej jesiennej szarudze...

— Więc i ona na co się przyda! — myślał sobie.

A radość pani Heleny któż wysłowić zdoła? Skoro w jej rodzinie odmieniło się wszystko, bo mąż zupełnie pić przestał?

Gdy ją kto zapytywał, jak to się stało, że wybrnęli z nędzy, pani Helena wznosiła wtedy wzrok na obraz Bogarodzicy i głosiła z wdzięcznaścią w głosie i sercu, że Ta, która nigdy nikogo nie opuszcza, Matuchna Boża, raczyła udzielić im Swei pomocy.

Czy słuchanie Mszy św. przez radjo jest spełnieniem obowiązku katolika?

Wiadomo dobrze, że wiele stacyj radjowych Europy nadaje msze z rozmaitych świątyń w niedzielę rano. Powstało zatem pytanie, czy msza słuchana przez radjo przez tysiące wiernych, pozostających w domu, jest wykonaniem obowiązku katolika wysłuchania Mszy św. w niedzielę.

Na temat ten wypowiedziały się wybitne osobistości z Kościoła katolickiego. Arcybiskup Neapolu stwierdził niedawno publicznie, że msza słuchana przez radjo nie posiada ważności. Msza jest wtedy ważna, gdy słucha się jej w obrębie kościoła, ewentualnie jeżeli jest wielki tłum na 10 kroków od kościoła. Wyjątek stanowią msze polowe i msze na wolnem powietrzu, które oglądać mogą tłumy z wielkiego nawet dystansu.

Dyrektor watykańskiej stacji radjowej O. Gianfranceschi wyraził opinję analogiczną, twierdząc, że bez fizycznej obecności w kościele msza nie jest ważna. Kwestją tą ma się zająć niebawem Ojciec św., gdyż w razie wprowadzenia telewizji sprawa jeszczeby się skomplikowała.

Równocześnie szef kongregacji rytuału mgr. Carinci przychylił się do tego samego poglądu. Oświadczył on dalej, że zapytywano go, czy spowiedź przez telefon jest ważna, czy nie. Odpowiedź w tym wypadku jest również negatywna.

Bez tytułu...

Przy rozstajnej drodze w pewnej wiosce stała karczma. Karczmarz, jak zwykle — żyd. Pewnego razu przed drzwiami tej karczmy ukazał się jakiś biednie odziany wędrowiec; po chwili głębokiej zadumy wyjął z kieszeni metr i zbliżywszy się do drzwi, zaczął je mierzyć.

— Dwa metry i dziesięć centymetrów wysoka, metr dwadzieścia centymetrów szeroka. Hm... Dziwne! — szeptał.

Czynność tę powtarzał kilkanaście razy. Z karczmy wyszła tymczasem gromadka ludzi i z zaciekawieniem przypatrywała się tej robocie. Wreszcie ktoś z gospodarzy zapytał:

— A cóż to człowiecze tak wciąż te drzwi mierzycie?

— Mierzę i mierzę i żadną miarą wymierzyć nie mogę, jakim sposobem przez te drzwi potrafiła przejść moja stodoła, dom, chlewy, pole, krowy — wogóle cały mój majątek!...

Obecni zrozumieli, co im przez to wędrowiec chciał powiedzieć. Przypomnieli sobie pewnego sąsiada ze wsi, który przed laty przepił cały swój majątek i o kiju żebraczym poszedł w świat. Tak, to był on!... Szkoda, że dopiero tak późno nauczył się rozumu!...